



Opera Rara: „Halka”, czyli ryzyko, które warto podjąć

2017-02-05

Siłą Moniuszkowskiej „Halki” miałyby być konwencja. Nie raz ten argument padał i teraz ponownie został przypomniany. Polska opera, z polskimi tańcami, o polskich sprawach (szlachcic uwiódł i porzucił chłopkę - nie bez skojarzeń z przykrym wspomnieniem rabacji galicyjskiej), a zarazem uniwersalna - bo uniwersalne problemy (zdradzona kochanka, która nie chce zrezygnować ze swej miłości), bo język międzynarodowego belcanta. A co, jeśli wywrócimy konwencję do góry nogami?

Takie pytanie trzeba sobie zadać, gdy staje się wobec jakiegokolwiek teatralnego dzieła Cezarego Tomaszewskiego. Także wobec „Halki”. Po pierwsze, zanim jeszcze odczujemy, że jesteśmy w skromnej wersji wileńskiej: obnażenie mechanizmów. Niczym uwertura do spektaklu, wyimaginowana, ale jakże realistyczna rozmowa przywróconego do życia kompozytora z największą propagatorką jego twórczości, tyleż złośliwie, co z szacunkiem zwaną „wdową po Moniuszce” Marią Fołtyn. Może budzić śmiech, ale też daje do myślenia - zwłaszcza że trzeba by bardzo jednostronnie oceniać jej słowa, by się z nich wyłącznie naigrawać, a w Aldonie Grochal możemy zobaczyć Marię Fołtyn - przecież wielką damę opery.

Po drugie: usunięcie z pola widzenia całej chwytającej za serce polskości. Co za ulga, nie zastanawiać się, czy i na ile „Halka” jest polska, czy uniwersalna. U Tomaszewskiego ten problem nie istnieje, choć tekst śpiewany po polsku i obecne, lecz jakby stłumione polskie rytmy w muzyce nie pozwalają zapomnieć, że jesteśmy w świecie „żywołu polskiego”... akurat na tyle, ile trzeba. To po prostu naturalne środowisko tej opery, żaden manifest - tak właśnie być powinno, skoro - póki co - nie jesteśmy w żadnym zaborze. Nie przejmujemy się tak bardzo, jak nie przejmujemy się tarantellą w operze włoskiej.

Teraz dopiero przychodzi czas na stwierdzenie, że mamy do czynienia z pierwotną, okrojoną ze wszystkich błyszczących dodatków, w które obrosła przed swą premierą warszawską, wileńską wersją „Halki”. Co z kolei oznacza nie tylko kondensację dramatu, ale i jego w pewnym sensie „odoperowanie”: nie ma tu popisowych arii (nie „szumią jodły na gór szczycie”), ograniczona jest ilość i działalność postaci, znika blichtr, który miał utworowi zdobyć zwolenników (i - nawiasem mówiąc - w jakimś stopniu zdobył, skoro Janusza śpiewał kiedyś Hans Hotter).

Nie sposób opowiedzieć teatru Cezarego Tomaszewskiego. Ironia i absurd nakładają się na slapstickowe pomysły i hiperteksty odsyłające w różne sfery kultury - a w tym wypadku łączą się także z niekwestionowanym tragizmem, który na takim tle robi tym bardziej bezpośrednie i niesamowite wrażenie. W takim kontekście nie szokuje też nieoczekiwane odczytanie treści - na czele ze śmiercią Halki, tym razem utopionej przez Jontka w dziecięcej wanience. Absurdalne? A właściwie - zastanówmy się - niby dlaczego?

Tak, to właśnie takie pytania rodzą się, jeśli wywrócimy do góry nogami konwencję. Byle konsekwentnie.

Od strony muzycznej gwiazdą pozostaje Natalia Kawałek, śpiewaczka, która już przed ładnych paru laty zwróciła na siebie uwagę i od tego czasu nic nie straciła na swej klasie. Nie sposób też odmówić kompetencji jej partnerom, na czele z Małgorzatą Rodek w roli Zofii, a także Jakubem Pawlikiem (Jontek) i Sebastianem Szumskim (w podwójnej roli Moniuszki oraz Janusza). Całość spięła orkiestra Capella Cracoviensis pod batutą Jana Tomasza Adamusa.



**Magiczny
Kraków**

Organizatorami festiwalu są: Miasto Kraków, Krakowskie Biuro Festiwalowe i Capella Cracoviensis.

Partner: Teatr im. Juliusza Słowackiego.

Więcej na: www.operarara.pl